



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

DO

szanownych czytelniczek

„BLUSZCZU.”

Czuając się w konieczności z powodu nadwątłego zdrowia złożyć dotychczasowy kierunek części literackiej „Bluszcza,” ślę dziś na tych kartach szczere podziękowanie czytelniczkom za uznanie, jakim się praca moja w ciągu 30-u lat cieszyła.

Łączę przytem serdeczne życzenie: aby pismo to w długie jeszcze lata społeczeństwu swemu służyć mogło.

Maryja Ilnicka.

Jako założyciel i wydawca pisma „Bluszcza” od r. 1865 wychodzącego składam szanownej Pani Maryi Ilnickiej kierownicze części literackiej tego pisma od samego jego założenia serdeczne podziękowanie

wanie za gorliwe i umiejętne długoletnie Jej usiłowania, które zapewniły pismu odpowiednie stanowisko w piśmiennictwie i ogólne uznanie w szerokim kole czytelniczek.

Do dalszego kierowania częścią literacką „Bluszcza” uprosiłem Panią D-rówę z Prawdzie-Cybulskich Ludwikową Bąkowską znaną w piśmiennictwie pod pseudonimem „Szczęsna” która trud ten od Października r. b. na siebie przyjąć raczyła.

Michał Glücksberg.

Przyjmując kierownictwo części literackiej „Bluszcza” z rąk tak doświadczonych, umiejętności i zasłużonych jak czcigodnej mej poprzedniczki Pani Maryi Ilnickiej, czuję całą doniosłość obowiązku i odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży.

Dogadzając uczuciu mego gorącego dla Niej uznania, za tę 30 letnią tak istotnie serdeczną dla społeczeństwa pracę, składam Jej tutaj słowo żywej wdzięczności, tusząc sobie że jestem w tym razie tłumaczką uczuć tak licznych pisma czytelniczek.

Sympatyczna praca Pani M. Ilnickiej nasuwa mi na pamięć słowa poety:

Jak zdrój z czystego wykwitła łona
Poila sobą długie plemiona
Cicha i miła—do cnót budziła
Wpajała ojców cześć.

Trzymając się dotychczasowej tradycyi umiarkowanego lecz dokładnego traktowania kwestyi i zadań, mam nadzieję, że przy dobrej chęci, ohotnej pracy, a dzielnej pomocy łaskawych współpracowników, uda nam się „Bluszcza” utrzymać na równi z ogólnym współczesnym ruchem umysłowym, zwracając zawsze baczność uwagę na wartość ekonomicznej działalności kobiety;—uda nam się rozwinąć na nim nowe gałązki, świeże kwiaty i zdrowe owoce, do których każda epoka życia i rozwoju jednostki, pokolenia i społeczeństwa, ma swe logiczne prawa.

Nie tając przed sobą niejednego trudu i przeciwności, z jakimi zetknąć mi się przyjdzie, witam Was łaskawe czytelniczki słowem życzliwości, pragnąc Wam służyć gorliwą pracą, czujną myślą i równowagą przekonani.

Szczęsna.

NA DZIŚ.

Na brzegach Wisły oddawna krzątać się zaczęły pracowite, hojne niewiasty, zapisując chlubnie swą działalność w długim lat szeregu. Więc wyrastały w ich opiece świątynie i szpitale, sypały się klejnoty dla szerzenia wiedzy, nauki, więc współczucie dla nędzy, dla niedoli wywoływało owe litośne słowa: a któż żył powrócił i kobieta stawiała się ucieczką nieszczęśliwych, ratunkiem nędzarzy, podporą pracujących.

Myśli ludzkie płynące coraz szerzej, światło zstępujące w ludzkość coraz głębiej, nowe, roztwierające się szeroko pola pracy, powoływały i kobietę jako współczującego z tem wszystkim człowieka, do wspólnej pracy, postępu i zasługi. Więc znów znajdowały się takie które niosły hojnie datki swej myśli, znaczenia, talentu, bogactwa, jako dorobek jednostek na korzyść ogółu, jako poparcie wspólnymi siłami rzeczy dobrych, jako podstawę dla ratowania nędzy ducha i ciała wielkiego zastępu upośledzonych. Słowem, rozpoczęła się bardzo widoczna, ruchliwością swą wysohniona—działalność kobiety.

Rozwijała się bez oporu, bez protestów, witana życzliwie, jako jedna z nowych sił pulsujących w ogólnej robocie społeczeństwa.

Z czasem jednak, stosunki ludzkie naprężać, wikłać, utrudniać się zaczęły; sprawa przeniosła się z ideowofilantropijnego pola na ciężką glebę walki o byt, pogoni za zarobkiem, utarczki bolesnej o chleb powszedni; wśród przesilen finansowych, drożyzny a powstających coraz nowych potrzeb, wśród podniecenia tej walki, podrażnień i zawodów, owa „działalność kobiety,” przedzierzgnęła się—w „sprawę kobiet” o którą obecnie tyle jest gwaru, która zajęła najpoważniejsze umysły męskie, i stanęła niemal na równi z pierwszorzędnymi zagadnieniami międzynarodowych i społecznych prądów. Jest to więc sprawa, z którą dziś liczyć się trzeba, a chociaż dotąd jeszcze znajdują się głosy, które jej tego istnienia przyznać nie chcą, to przecież ona mimo to—jest, rzeczywistością swych zjawisk się broni, rozwija się wcale szybko, lecz—w rozmaity sposób. Jak każda nowa, młoda idea, a w sobie żywotna, więc mająca rację bytu skupia ona dokoła siebie liczne już zastępy. Są tam rozumni szermierze, pilni pracownicy, gorący wyznawcy, ale też i skrajni adepci, hazardowni fanatycy, którzy hałasując najgłośniej, wywołują tem właśnie zarzuty, srogą krytykę i nieubłaganych przeciwników.

Przy tem, objawiający się często brak spokoju, gorączkowy pośpiech, ostre starcia, przeistaczają sprawę—w walkę, powstaje obóz, i wszelkie niedogodności takiego obozowania pod murami niezdo- bytego jeszcze Jeryha choć tak namiętnie otrębia- nego dokoła. Niewielka liczba mądrych przy- wódców, duże nawet zastępy karnych szeregowców, nie wiele pomogą, jeśli w obozie są zapaleńcy, pro- wadzący podjazdowe wycieczki na swoją rękę i w swoim duchu, jeśli są lekkoduchy skaczące w niebezpieczeństw wiry, jeśli są obok tego ma- ruderzy, obojętni lub nawet i odstępcy.

Niestety, w niniejszej sprawie jest tego wszyst- kiego nie mało. Trzeba tu jeszcze nadmienić, że namnożyło się sporo drobnych nieporozumień, (o których nam bliżej mówić przyjdzie w przyszło- ści), mówię drobnych, bo zasadzających się na złem, niedokładnem, lub naciągniętem rozumieniu choćby takich wyrazów jak emancypacja, kobie- cość i t. p. a wikłających istotę rzeczy do samego jej jądra. Do takich zasadniczych nieporozumień należy przedewszystkiem stawianie samej kwestyi jako walki między dwiema połowami ludzkości, między mężczyzną, a kobietą. Tak to jednak nie- raz wygląda, sprowadzając na sprawę najsmutniej- szy i najniebezpieczniejszy z zarzutów — śmiesz- ność. Wszakże do najgorętszych obrońców sprawy należy wielka ilość: mężczyzn, i to nie marzycieli, lecz uczonych, fizjologów, doktorów, socjologów. ludzi bardzo trzeźwych, bardzo bezstronnie i mądrze patrzących w życie i prawidłowy jego rozwój. Wal- ka jest, lecz między dwoma—stronniczwami, a do

każdego z nich należą i kobiety i mężczyźni, jedno życzy sobie rozwoju działalności kobiety i jej praw, drugie uważa to za niepotrzebne.

Materyału, gruntu zdobytego, rozszerzonych szranków pracy jest już dużo; oto niejeden uni- wersytet już otwarty dla kobiet, szkoły fachowe, za- wodowe powstają coraz liczniej, opieka nad pra- cą fabryczną i przemysłową wzrasta, uczynność jednostek i stowarzyszeń budzi się z dniem każ- dym, mnożą się szkółki, ochronki, szwalnie, przy- tułki, schronienia i t. p. instytucje. A jednak sprawa się zaostrza. Dlaczego? Bo oto wśród nagromadzonych już zdobyczy, pewnych praw, stosu teorii, poglądów, mnóstwa ścieżek, drózek i—manowców, nie kładzie się jakoś głównego na- cisku na wykucie jednej, prostej, środkowej, pewnej, drogi, na której by kobieta, gdziekolwiek obowiązek ją postawi, czy wśród własnej rodziny, czy na cze- le młodzieży uczącej się, czy wśród samotnej pra- cy, znalazła bezpieczne dla siebie wskazówki i dla umysłowego rozwoju i dla praktycznych celów. Zdaje mi się, że tym prostym gościńcem, na któ- rym zawsze pożyteczny drogowskaz znaleźć można, jest—praca nadewszystko. Do pracy—nad sobą, do pracy na sobie i do pracy dla drugich, nietylko każdy ma—prawo, którego zdobywać nie trzeba ale i święty obowiązek, jeśli nie chce być apatycznym płazem, do którego „nie lgnie fala ani on do fali,” jeśli nie chce być leniwcem, ciężarem rodziny lub społeczeństwa. Ta obowiązkowa więc droga pracy, dotyczy tak samo szczęśliwej kobiety, której nad kołyską danem jest śpiewać tę śliczną piosnkę:

„Mój złotowłosy synku maleńki“

M. Ilnicka.

jak i niewiasty będącej na stanowisku odpowiedzial- nem za wielu, jak i tej pracownicy, która łamiąc się z losem zdobywać musi codzienny swój byt. Żeby mózdz dobrze gospodarzyć w rodzinnym gnieździe, trzeba umieć patrzeć w samą siebie, trzeba panować nad sobą, trzeba wiedzieć co się na świecie dzieje, aby na usługi tego świata wyhodować owego „złoto- włosego“ małego człowieka; zatem trzeba nad rozwojem własnego ducha, sumienia, godności, dojrzałości—pracować. Tembardziej, jeśli się dru- gim w dużej liczbie przewodniczy. A kto wie, czy nie najwięcej nad sobą pracować potrzeba tej, któ- ra jest sama, nie ma towarzyszy życia i obowiązku, którzyby ją wsparli radą i otuchą, i musi w sobie znaleźć—wszystko, aby mieć siłę sobie zdobyć— wszystko, i chleb, i dach, i stanowisko i bezpieczeń- stwo. Przyznać trzeba że jest to do dziś jeszcze bar- dzo trudnem, pomimo owego stosu teorii jaki się już dokoła „sprawy kobiet“ nagromadził. Na dziś więc, uważając drogę pracy, jej postęp, opiekę jak- ką zyskuje, przeciwności z którymi wależy, zbrocze- nia jakim ulega, jako istotne ognisko działalności i żądań kobiety, główną uwagę, zwróćmy na śle- dzenie jej objawów i kierunku, który z żywotną falą ludzkich usiłowań ściśle połączony, niewątpliwie ku coraz lepszemu zwracać się będzie. Pomijając więc przejściowe, naturalne zresztą w każdej wal- ce, „niebezpieczeństw wiry,” starajmy się wyrobić w sobie tę równowagę, która jako:

Wyższa moc ducha

Tych utrud nie słucha,

a daje właśnie spokój, przytomność i wytrwałość w prawidłowym rozwoju trudnej nawet działalności.

Śczęsna.

Z międzynarodowego kongresu kobiet W BERLINIE.

Gwarno i tłumnie stało się w salach Angiel- skiego Domu w Berlinie, gdy w dniu 19 Września napływać doń zaczęły liczne zastępy kobiet, na ów przyjacielski „Begrüßungsabend“ przed rozpoczę-

ciem kongresu. Tysiące pań nie dostało się już do wnętrza, bo i tak 700 kart wstępu wydano ponad program, a przeszło 1,200 kobiet z różnych stron świata mieściło się jak można było aby w skupie- niu wysłuchać gorących słów powitania pani Liny Morgenstern, inicjatorce kongresu i głównej jego przewodniczki. Dalej odczytano dwie na tę oko- liczność nadesłane poezye; pani Meissner-Diemer z Wiednia podziękowała za gościnność, panna Eli- za A. Haighton z Amsterdamu wyraziła pozdrowie- nie od swego kraju, delegatka z Armenii w narodo- wym stroju wygłosiła podobnie od swej ziemi, po- znano się między sobą wzajem, zbliżyły się ze sobą mieszkanki Ameryki, Anglii, Portugalii, Francji, Niemiec, a wzajemne życzliwe usposobienie naj- lepszą było wróżbą dla mającego się nazajutrz rozpocząć kongresu. Otwarcie tego kongresu w wielkiej sali ratusza, poważny nastrój, spokojny wygląd tylu uczestniczek, ściśłość ich przemówień, jasne poczucie celów, a nieraz i świetny dar słowa, uczyniły duże i bardzo dodatnie wrażenie w Berli- nie zyskując przychylne nader sprawozdania nawet takich pism, które przed niedawnym jeszcze czasem z przekąsem o sprawie kobiet się wyrażały.

Po odśpiewanym hymnie przez chór żeński, za- gaiła rozprawy pani L. Morgenstern. Po serdecz- nem przywitaniu tych mianowicie współuczestni- czek, które nie zrażając się trudnościami dalekiej drogi przybyły aby razem nad pożytecznym i pię- knym celem popracować,—zaznaczyła przemawia- jąca, że chodzi właśnie o jaknajszersze wspólne międzynarodowe działanie kobiet, aby wypłynąć z niego mogło ogólne dobro ludzkości, sprawiedli- wości dla wszystkich, jedna dla wszystkich moral- ność, jedne obyczaje, a dla kobiety podniesienie jej godności, uwolnienie jej od małoduszności, przesąd- dów błędnych, ciemnoty i zacofania.

Prelegentka przedstawiała dalej potrzebę zrówna- nia kobiety wobec prawa, i dopuszczenia jej do gło- su tam, gdzie się roztrzyga osobista sprawa jej pra- cy, wyboru zawodu i wykształcenia.

Tego dobra pragnie p. Morgenstern dla wszyst- kich kobiet.

„Nie chodzi nam — powiada—o różnice przeko- „nań, stanowisko danej osoby, wyznanie wiary poli- „tyczne lub religijne, nie o narodowość lub rasę „nam chodzi, lecz jedynie o to, co jest ludzkie, z ludz- „ką godnością związane, a więc boskie, chodzi nam „o wierność przekonani i samowiedną odpowie- „dzialność za siebie. I kiedy widzę tę nadspodzie- „wanie wielką liczbę uczestniczek, ciepło mi się „w sercu robi i dusza moja napełnia się radosną „nadzieją.“ Dalej przebiegła przewodnicząca dzie- je utworzenia się niniejszego kongresu, zaznaczyła czynności poszczególnie ósmiu komisji, które pil- nie pracowały w doprowadzeniu rzeczy do pożada- negoładu, a roboty było немало, z umieszczeniem wygodnem tylu osób, z korespondencją na wszyst- kie strony świata, z wypracowaniem ważniejszych punktów, jakimi kongres zająć się pragnął, z zape- wnieniem sprawozdań prasowych, z ułatwieniem uczestniczkom wszelkich trudności w „obcym miejsu i przysporzeniem im wszelkich przyjemności, jakie dać mogła wystawa i osobiowości wielkiej stolicy.“

Zwróciła potem przewodnicząca ściślej uwagę na program kongresu rozesłany wcześniej w różne strony świata, kędy tylko biją czujne i rozróżne serca kobiet, program który zawiera to wszystko czego właśnie inicjatorce zjazdu żądają.

Po ogólnem zdaniu sprawy z działalności kobiet, pierwsze przemówienia poświęcone być mają: pie- lęgowaniu i wychowaniu dzieci, tej przyszłej ludz- kości. Ruch kobiecy rozpoczął się od owego ser- decznego nawoływania Fröbela:

„Pójdźcie, żyjmy dla dzieci!“ i rozpoczęło się za- sadnicza jego reforma wychowania dzieci i młodzie- ży, tyle do dziś—dająca nieocenionego owocu i dla młodego pokolenia, i dla tych, którzy się tym naj- mniejszym bliżnim oddali.

„Tym początkiem naszego programu,—mówi p. „Morgenstern wykazujemy dobitnie, że na zdro- „wym, moralnym gruncie rodzinnego życia stoimy, „w którym równoważne stanowisko wobec prawa „oboje małżonków jednako odpowiedzialni czyni „za wychowanie ich dzieci.“

Dalszymi punktami programu są sprawy wykształ- cenia kobiet, elementarnego, fachowego, zawodo- wego, opieka nad niemi, domowa i ogólna higiena,

dalej stanowisko wobec praw obywatelskich, sprawa robotnic i ich zapłaty i na koniec stanowisko kobiety wobec sztuki, wiedzy i literatury, w połączeniu z jej współdziałaniem w upragnionem przez ogół zapewnieniu światu pokoju. Widzimy że program to bardzo szeroki, sprowadził też współczujące z nim kobiety z różnych końców świata, zdaje nam się jednak, że owa właśnie różnorodność poglądów, wywołana różnorodnością stosunków w jakich kobieta żyje na obcej ziemi, utrudni kongresowi bardzo powzięcie pewnych stałych, właśnie międzynarodowych zasad co do rozwoju tej sprawy, a owoc kongresu będzie raczej sprawozdawczy niż twórczy. Jedno tylko przydać się może dla wszystkich, to zachęta do działalności pożytecznej *takiej*, na jaką w danych warunkach zdobyć się można. Przemówień było pierwszego dnia bardzo wiele; nadmienimy pokrótce o najwybitniejszych. O „kobiectwie w Niemczech” mówiła pani Stritt z Drezna, ubolewając, że nigdzie indziej tyle nie wytworzono *teorii*, o sprawie kobiet, nigdzie tyle nie napisano, a zarazem nigdzie może nie — *uczyniono* tak mało dla niej jak w Niemczech. Istnieją wprawdzie od dość dawna i „Allgemeiner deutscher Frauenverein”, założony w r. 1865, i „Letteverein” powstały w 1866 r. i „Frauenwohl” przed kilku laty powstały w Berlinie, działając bardzo korzystnie na wyższe wykształcenie kobiet przez zakładanie szkół fachowych i wyższe naukowe; władze jednak rządowe wydając na wykształcenie chłopców 97³/₄ przeznaczanej sumy na oświatę, przeznaczają dla dziewcząt tylko 2¹/₄. Trzy istniejące gimnazja dla kobiet, w Karlsruhe, Berlinie i Lipsku są dziełem Frauenvereinu; do uniwersytetów dopuszczono wprawdzie kobiety, jako nadzwyczajne słuchaczki ale z „możliwymi utrudnieniami”, zależnymi od woli profesorów, którzy zawsze więcej sprzyjają cudzoziemkom niż współrodaczkom, a i tak dojdzie do dyplomów jeszcze natrafia na nowe przeciwności. Niedawno założony „Hilfsverein” przez p. Minnę Cauer cieszy się już liczbą 9,000 uczestniczek pracujących w handlu i przemyśle, rozwija się też stowarzyszenie nauczycielek i inne. Skarży się też przemawiająca że nigdzie tak jak w Niemczech, rozdział społeczny, polityka, nienawiść kastowa tak nie dzieli kobiet od siebie daleko z ogromną szkodą wspólnego porozumienia i wzajemnego wpływu.

Dobitna mowa p. Stritt uczyniła duże wrażenie, bez złudzeń wypowiadana prawda, rozjaśnione położenie, w niezbyt świetnem wystawiły światło stanowisko niemieckiej niewiasty.

Panna D-r Med. Margaret Melik-Beglaryanz z Tyflisu opowiadała o swoich współrodaczkach w Armenii, które są w tem szczęśliwem położeniu, że nieczego nie żądają, piękne i spokojne, w 13 roku życia idą za mąż, prowadząc szczęśliwy żywot w rodzinnem gnieździe; w leczebnej będąc mniejszości nie znają co samotna praca, znajdują towarzyszy i opiekę; jeśli która zapragnie wyższego wykształcenia, to w celu również domowym, aby oświeconą stać się matką, jeśli udają się na uniwersytet to najczęściej wybierają medycynę. Pozdrowienie z Danii przywiozła w imieniu tamtejszych stowarzyszek kobiecych panna D-r E. Möller z Kopenhagi, sama w stroju czarnym urzędowym duńskim z haftowaną girlandką. W Danii kobiety dość znaczne uczyniły postępy, powierza im nawet szkolna władza kierownictwo męzkich gimnazyów i t. p. urzędów ze względu na wpływ duchowy bardzo ważnych. Po dwóch angielskich przemawiała francuska D-r fil. Schirmacher, wyliczając stanowiska do jakich kobietę tam dopuszczono, mianowicie jest już ona członkiem gminnej opieki nad biednymi, urzęduje w kassach chorych, ubezpieczeń, na kolejach, pocztach, telegrafach, może nawet zostać naczelnikiem stacyi kolejowej i inspektorką targów. Baronówna Aleksandra Griepenberg z Finlandyi skreśliła sympatyczny obraz serdecznego garnięcia się kobiet nawet biednych do oświaty, biegnących nieraz przez góry i strome ścieżki do licznych czytelni, gdzie usłyszeć mogą słowo pouczające i wskazówkę na gospodarskiej drodze.

Ze sprawozdania pani D-r Paoli Schiff z Medyolanu dowiedziano się, że stowarzyszenia kobiece we Włoszech przeważnie pracują nad temi dziećmi, które ukończywszy szkołę ludową w 10 roku życia, zostawione byłyby złym wpływom próżnowania, niezdolne jeszcze do cięższej pracy. Pani Schlesinger

z Wiednia przedstawiła stanowisko kobiety w Austrii mniej więcej jako podobne położeniu w Niemczech z tą różnicą, że kobieta samodzielnie stojąca, a płacąca podatek ma prawo głosu przy wyborach w rzeczach dotyczących gminy. Na tem skończyło się pierwsze posiedzenie kongresu, trwające od 11 rano do 3 popołudniu, poczem przyjmował uczestniczki na wystawie przemysłowej tajny radca Goldberger w pięknie przyozdobionych salach chemicznego pawilonu. Drugie posiedzenie pod przewodnictwem pani Beiber-Böhm, odznaczało się również wielkiem ożywieniem, hucznymi oklaskami przyjęto pozdrowienie przesłane przez 85 letnią staruszkę hr. Butlar-Haimhausen, najstarszą współpracowniczkę na polu nlewieściego ruchu w Niemczech, potem pani D-r H. Goldschmidt wygłosiła swą sympatyczną mowę o ogólnoludzkim, dobroczynnym wpływie Fröbela na rodzinne i społeczne wychowanie. „Wspólny węzeł — mówiła prelegentka — wiąże kobietę z chatą z kobietą na tronie, jest nim ten wyraz — *matka*; rozdział między powołaniem matki w chacie, a powołaniem matki na tronie nie jest tak znaczny jak różnice zawodów między mężczyznami. Zadaniem fröbelskiego systemu jest oraz przygotowanie żeńskiej młodzieży do przyszłości ich czekającego stanowiska, matki wychowawczyni i dlatego to powinny żywszą, zwrócić uwagę na ogródki dzieciinne młode panny i z wyższego świata. Tamto znalazłby sposobność pozbycia się wielu uprzedzeń i rozgoryczeń kastowych. Jak młodzieńcy wszystkich stanów powołani są rok życia przynajmniej w armii krajowej, wysłużyć, tak powinny być i młode panny zmuszone rok swego życia ofiarować pracy w ogródkach fröbelskich i tym sposobem sprawie pokoju usługi swoje poświęcić.”

Sporo innych, nowych a sympatycznych pomysłów mieściła mowa pani Goldschmidt, po której zabrała głos przewodnicząca rosyjskiego związku kobiet D-r Med. p. Szabanoff, naczelną lekarką szpitala ks. Piotra Oldenburgskiego w Petersburgu, zdając sprawozdanie o tymże związku i o założonych kursach akademickich dla dziewcząt. Panna Luiza Ey-Porto przedstawiła opłakany stan apatii, próżności i zbytku kobiet w Portugalii, które sprowadzając swe stroje z Paryża nie wiedzą często gdzie ów Paryż leży, a na pytanie prelegentki zadane jednej z rodaczek kiedy się Chrystus urodził, odpowiedziała dobrodusza Portugalka: — „z początkiem tego stulecia — w Lizboni!” Dużo wody upłynie w Tagu zanim czarnookie Iberijki zechcą odwrócić swe spojrzenie od strojów ku robocie i pożytecznej książce, ku czemu skłonniejsze są na razie kobiety z ludu niż barykadujące się za pięknymi wachlarzami przed każdą pracą — damy, którym zresztą bez pozwolenia męża niewolno by nawet było prac literackich drukiem ogłosić, jak nie wolno własnem rozporządzać mieniem. Panie Park z Glasgowa i Maria Raschke z Niemiec mówiły o dobroczynnym wpływie ochronek dla dzieci, które w Szkocji coraz liczniej powstają i w Niemczech się mnożą jako tak zwane „Mädchen — i Knabenhorty.”

Jak dotychczas, kongres coraz żywszą zyskuje sympatię wśród szerokich kół społecznych zebranych w Berlinie na wystawie, zobaczymy do jakich na końcu dojdzie wniosków, co zyska, co postanowi nadal, jaki owoc dojrzeje z tego obfitego posiewu różnorodnych myśli, projektów i pomysłów.

Szczesna.

CZekałem Ciebie...

Czekałem ciebie w rano,
Gdy na perłowym szlaku
Z świetnego gwiazd orszaku
Ostatni zgasił kaganek...
Gdy na różowym wschodzie,
W promiennych zórz obwodzie
Wystrzelił złoty wianek...

Gdy pierwszy od rubieży
Popłynął powiew świeży,
Czatownik dnia skrzydlaty —
I zbudził najpierw kwiaty...
Gdy lilje w szacie białej
Ofiarą woń wylały...
Gdy strumień żywy gwarniej
Po miękkiej spłynął darni...
Gdy ptactwem ożywiona
Oddźwiękla cała strona,
Tak głośna, tak ochocza:
Gaj bliski, i dąbrowa,
I strzecha, i zaścianek...
Gdy Boży dzień poczęty
Stał w drzwiach uśmiechnięty,
Jak w kole niespodzianek,
W radosnej mgie przezroczej —
Dziewicze śliczne oczy...
Czekałem ciebie z wiarą,
Czas mierząc serca miarą,
Różowe snując plany,
Nadzieją tak różany,
Promienny twój kochanek:
Nie przyszłaś — w złoty ranek.

Czekałem cię w południe,
Gdy w znoju, w słońca skwarze,
Z tęsknotą moją w parze —
Dzień włókł mi się tak nudnie...
Gdy patrząc w puste ściany,
Roilem zaufany,
Że tobą ja precudnie
Mój pusty dom zaludnię,
Że tobą go rozświecę,
Ozdobię i okwiecę,
Nad wszystkie blaski, trony
Przejaśnie wyniesiony...
Że tobą ja zlagodzę
Cień każdy na mej drodze,
Że tobą ja ukoję
Nieszczęście wieczne moje...
Że ciebie sercu zbliżka
Zachowam u ogniska
Na życia mego grudnie, —
Na smutki moje starcze
Twym blaskiem się otarczę...
Marzyłem tak ułudnie...
Nie przyszłaś, nie! — w południe.

Czekałem w wieczór cichy,
Gdy w słońcu okrwawionem,
Z purpurą, z całym tronem
Padały dnia przepychy...
Gdy potem marzycielka —
Nastąpi cisza wielka.
Wysokim niebom krewna,
Przezysta, modlitewna...
Gdy w ciszy tej posłuchu
Zatonął bór bez ruchu,
Przebrzmiały wszystkie szумы
Do ważnej wzięwszy dумы...
Gdy tęskny świerszcz za ścianą
Rodzinną baśń świetlaną.
Od dziada — od pradziada,
Bez końca opowiada...
Gdy późny ptak strwożony
Do gniazda — w drzew korony
Pośpieszał między liście,
Zdradzając w liściach przyjsie...
Gdy stulał kwiat kielichy
Na snu najśodsze miody...
Gdy padły ros ochłody,
Gdy ziemia orzeźwiona
Westchnęła z głębi łona...
Gdy potem żab chórwały
Tęskliwie się rozgrały...
Czekałem — ważąc losy,
Jak czeka zbawczej rosy
Kwiatowy płatek lichy, —
Czekałem z zachodzącem
Nadziei mojej słońcem
I utęsknieniem całem,
I z trwogą mą czekałem...
Nie przyszłaś — w wieczór cichy.

Więc nocą, gdy tęsknota
Otwiera oścież wrota,
Gdy gwiazda gwieździe zwierza
Tajemną treść przymierza,
Gdy księżyc światłolicy,
Ze srebrnej swej prząsnicy
Uroczę blaski mota...
Gdy rozstrzępioną zgrają
W dolinach mgły powstają
I idą błędne, chwiejne,
Jak duchy beznadziejne.
Na pola, łąki, lasy—
Na zwodne wciąż wywczasy...
Gdy pełno wśród obszaru
Księżycowego czaru,
Srebrnego w szeptach gwaru,
Bezdźwięcznej, księżycowej,
Bezuste jakiejś mowy...
Czekałem—siadłszy w progu
Z niedolą mą w rozłogu,
I twarz ukrywając w dłonie,
Spadałem w smutków tonie,
Gdzie mgła się wieczna chwieje,
Bez wiary w mą nadzieję,
Bez wiary w jutrznię moję,
Bez wiary w to, co roję,
I z beznadziejną marą,
I z wiary już niewiarą...
Spadałem w otchłań szarą,
Już całkiem duch-sierota,
Gdzie wieczna ciemność—martwota,
Gdzie duch drętwieje z ciałem,
Jestestwem mem omdlałem
I czuciem zapadałem....

I wtedy przyszłaś, złota!

I wtedy przyszłaś, złota!
O! wdziękul o uroku!
O, tęczo mego wzroku!
Nad wszystkie blaski—zorze
Piękniejsza na przestworzel
Zywego serca drzenie
Niosąca na świadczenie,
Najżywszą serca tkliwość,
Najtkliwszą serca żywość—
Rozłakę—kres pośpiechu
Stwierdzając łzami w śmiechu...
Rak lili białych dwoje
Oplotły szyję moję,
A ja—z za mgły roznucia
(O! przynajśłodsze czucia!)
Uczułem, jak bezkresnie—
Uczułem, jak radośnie
Ku szczęścia wiecznej wiosnie
W zachwytach duch mój rośnie,—
W odrodzin tych godzinie
W uśmiechach jasnych płynie...
Uczułem, że z tą chwilą
Czarownie się odchyła
Mych ziemskich dróg przesłony,
Ze w blaskach odrodzony
Na wieki duch mój wskresnie,
Uskrzydli swe orędzie
I chwilą wieczną będzie
I wieczność w chwili sprzedzie...
Ze życie me łabędzie
Na cichych wodach prześnie,
Oteczę i opiesnie,
W cud—w jedno zachwycenie
Zestrzele i spromienie...
Ze słońce chłonać jasne,
Na życia mrok nie zasne,
Ze z jawy mojej we śnie
Nie ocknę się boleśnie...
Bo przyszłaś podać leki
I z ducha mi powieki
Na żywot podjąć lekki—
Na wieki już, na wieki,
Za kresy—i wszecześnie....

Dla czego tylko we śnie?...
Józef Jankowski.

LUBRANCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

(Dalszy ciąg).

Dwa dni minęło od czasu przyjazdu pani Zeneidy do Warszawy. Odbierała kilkogodzinne narady ze swoim adwokatem, a rezultatem ich był zły humor i niezadowolenie z obrotu interesów. Gniewało ją to, że jedynym punktem wyjścia było zaciągnięcie pożyczki, którą chcąc spłacać w przyszłości, będzie musiała wyrzec się na pewien czas części swoich dochodów i tak już zmniejszonych przez stratę wartościowych papierów, które spłonęły we Florencji.

Wiadomość o przybyciu pani Zeneidy szybko się rozeszła w towarzystwie. Spieszono z powitaniem, ale nikogo nie przyjmowano, tylko w przedpokoju na stole rósł stos biletów wizytowych.

Jednego dnia po południu zaanonsowano dzieci jej brata, hrabiego Lubranieckiego: pani Helena Szańska z mężem i młody Henryk Lubraniecki!

Pani Zeneida kazała prosić. Intrygowała ją obecność Henryka w Warszawie, gdyż przed dwoma tygodniami był u niej we Florencji i nie wybierał się tak prędko z powrotem do kraju.

Przybrała wyraz spokojny i wesoły, a gdy się drzwi otworzyły, podbiegła żywo ku przybyłym.

— Jak się macie, moi drodzy! — rzekła. — A Henryk! A ty kład się tu wzięłeś?

— Nagle mnie do domu wezwano. Jak się na wsi samemu gospodaruje, to się miewa często takie niespodzianki.

Był to dwudziestokilkuletni młody człowiek, średniego wzrostu, blondyn, o rysach drobnych i sympatycznych, wykwinny w ruchach i ubraniu.

Wszyscy troje przybyli w żałobie.

— Moja droga ciociu, — rzekła pani Szańska przystojna blondynka, do brata bardzo podobna. — Dopiero dziś rano dowiedzieliśmy się z „Kuryera“, że ciocia bawi w Warszawie, i zaraz przychodzimy. Pewno ciocia jest aż nadto przekonana jak współczujemy z nią w jej nieszczęściu... Dla nas to prawdziwe zmartwienie...

Ale pani Zeneida niecierpliwym ruchem przerwała jej mowę.

— Dosyć, dosyć moja droga. Trzeba było te sentymentalizmy w domu zostawić. Mnie to ani bawi ani zajmuje. Siadajcie, proszę i chciejcie mnie zrozumieć i zaprzestać tych kondolencji i ubolewań, które wcale nie są na miejscu, a mnie tylko denerwują. Inad czem tu ubolewać? Nad kilkoma ścianami i graciarnią, o którą nigdy się nie troszczyłam!

Mówiła żywo, chciała własne zmartwienie zagłuszyć sztucznym lekceważeniem i wmówić w drugich, iż ją to nie a nie nie obchodzi.

Szańska była zdetonowana tem niespodziewanym wystąpieniem. Przyszła z przygotowanym zasobem żalów, westchnień i ubolewań, tymczasem zaraz na wstępie pani Zeneida rozebrała tę mgłę łzawą i kondolencyjną, i trzeba było się zastosować do tej nowej barwy tonu i rozmowy.

Szański złośliwie się uśmiechał. Wiedział już oddawna, że ciocia Zeneida jest niewyczerpaną w niespodziankach, i że lubi pozować na wyższą po nad wszystkie przeciwności.

Henryk Lubraniecki nie słuchał wcale wyznań ciotki. Patrzył na Jadwinę, która siedziała z boku, za panią Zeneidą i przemysliwał, jakimby sposobem dostać się można na stojące obok niej krzesło.

— Nam się wydawało, że ciocia była bardzo do swego pałacyku i zbiorów przywiązana, — rzekł Szański, ciągle się złośliwie uśmiechając.

— Mało jesteś wymagającym jeżeli podobną rudę pałacem nazywasz, — żywo przerwała pani Zeneida, która od czasu pożaru wyrażała się z nienawiścią i pogardą o swojej dawnej siedzibie.

— Szkoda jednak tych pamiątek.

— Pamiątki? Nie było tam żadnych pamiątek. Zresztą w moim wieku przekłada się nad wszystkie pamiątki, wygodne łóżko i smaczny obiad; a jedno i drugie wszędzie i zawsze dostać można. Nie zaprzeczam, było tam trochę ładnych cacek i mebli, ale nie uważasz mnie chyba za taką naiwną, żebym resztę mojego życia psuła sobie opłakiwaniem krzesła i stolików. Przecież to tak łatwo innych dostać!

Tymczasem Henryk i Jadwinia, po rozmaitych strategicznych obrotach i manewrach, znaleźli się obok siebie, z boku; po za oczami pani Zeneidy, w cieniu gościnnej portyery, która była gotowa głuszyć uprzejmie dźwięki ich słów.

— Dziękuję ci, za to, żeś przyjechał. Co prawda napół się tylko tego spodziewałam. Myślałam, że zostaniesz na południu.

— Wstydz się. A dla kogóż ja tam byłem? Ciocie tam już niema, więc wyjechałem. Udajesz naiwną, ale chyba nie wątpiłaś, że przyjadę tu za wami.

— Ha, trzeba się przyznać, a więc tak. Nawet zaczynałam się dziwić, nie widząc cię tak długo; miałam zamiar obrazić się o to spóźnienie, ale... gdy wszedłeś o gniewie zapomniałam. Widzisz, jaka jestem dobra, nawet się na ciebie gniewać nie potrafię.

Henryk nie nie odpowiedział, patrzył na Jadwinę długo i serdecznie, a oczy za niego wiele mówiły. Jadwinia widziała to spojrzenie ale podobnego nie oddała. Wzrok jej ślizgał się obojętnie po otaczających ją sprzętach, zdawał się nie wiedzieć o słowach, które wymawiały jej usta.

Musieli przerwać swą rozmowę, gdyż pani Zeneida rzuciła Henrykowi jakieś pytanie.

— Czy ciocia ma zamiar długo zabawić między nami? — spytała Szańska.

— Nie wiem, ale chciałabym jaknajprędzej skończyć wszystko i wyjechać. Prawdopodobnie będę jeździła od miasta do miasta nigdzie się dłużej nie zatrzymując... Zawsze po każdym pobycie na jednym miejscu powracałam z przyjemnością do hotelowej włóczęgi. Wolę jeden pokój na czwartym piętrze, ale wśród zmian ruchu dużego miasta, aniżeli wasze piękne i wielkie rezydencje, od wieków zawsze takie same, zakamieniałe w swojej monotonii.

— Ojcu bardzo jest przykro, że ciocia nie chce go na wsi odwiedzić; zawsze do Lubrańców bliżej jest z Warszawy niż z Paryża. Ojciec od śmierci swojej żony bardzo jest zgnębiony i przybity.

— Ale, a propos waszej macochy, — przerwała pani Zeneida, — widzę, że się poświęcacie dla waszego ojca i nosicie żałobę po jego drugiej żonie. Przykładnie ją opłakujecie, bardzo to pięknie z waszej strony. Pomimo to nie zwracam się do was z kondolencją, byłby to pusty frazes.

Na wspomnienie o żałobie, Szańska westchnęła. Przyszły jej na myśl jasne tualety o kolorach tęczy, bale, zebrania i widowiska, wszystkie towarzyskie przyjemności, za które miała przepadała, a które zniknąć musiały na przeciąg całego roku i rozwiązać się w jakiejś mgłę ciężkiej i czarnej, jakby żałobnej krepie, rzuconej niespodziewanie i bezwzględnie także na jej suknie i kapelusze.

Po chwili rzekła z przygnębieniem:

— Mam teraz wiele niepokoju i zmartwienia. Ciocia zna ojca i wie jak potrzebuje zawsze kogoś mieć przy sobie, a im więcej go osób otacza, tem jest szczęśliwszy. Jak niema żony, któraby nim wyłącznie była zajęta, nudzi się i nie wie co z sobą robić. Teraz na przykład, otacza się bez wyboru rozmaitemi zakazanymi postaciami; każdego kto się na drodze nawinie, zaprasza do Lubrańców.

— A kto się dziećmi zajmuje?

— Dzieci są w Lubrańcach przy ojcu, — odrzekł Szański. — Opiekunów im nie brakuje, ale inteligentnej głowy niema tam ani jednej.

— Radzę wam, uważajcie, niech ci opiekunowie i waszego ojca nie wezmą zanadto pod opiekę. Jest

wrażliwy, a jak się nudzi to najłatwiej kierować. Mogą się wtedy tacy znaleźć, którzy będą z sytuacji korzystali i opanują nim samowładnie. Gdyby się był nie nudził po śmierci waszej matki, byłby się powtórnie nie ożenił. Teraz jest daleko starszym, zatem więcej słabym i ulegającym obcym wpływom.

Pani Zeneida i Szańscy rozmawiali żywo o domowych stosunkach hrabiego Lubrańskiego, Henryk i Jadwinia mogli znowu poufnie zamienić słów kilka.

— Czyś już mówił wujowi Lubrańskiemu o twoim względem mnie zamiarach?

— Jeszcze nie. Dlatego też chciałem bardzo, żebyście teraz, korzystając z bytności w Warszawie, do Lubrańców przyjechać zechcieli. Tamby się wszystko od razu omówiło i ułożyło.

— Dobrze, postaram się, żeby ciocię do tego nałkonić.

W tej chwili Szańska dała znak do odejścia. Żegnano się, pani Zeneida obiecała Szańskiemu swoje odwiedziny.

Jadwinia po ich odejściu była zamyślona i mało mówiąca. Obiecała Henrykowi, że nakłoni ciotkę do odwiedzenia Lubrańców, a znaleźć nie mogła żadnego przekonującego argumentu.

Wieczorem pani Zeneida pisała listy tyżące się jej interesów, Jadwinia z wyrazem nonszalancy i znudzenia przerzucała ilustrowane dzienniki.

— Moja ciociu, — rzekła nagle — czy ztąd daleko do Lubrańców?

— Cały dzień jazdy koleją, a później jeszcze kilkanaście wiorst końmi, po drodze jak do piekła. Zapadły kąt.

— Henryk mi mówił, — Jadwinia ciągnęła dalej, — że wuj napewno się cioci w Lubrańcach spodziewa. Możeby jednak ta wycieczka nie była zupełnie bezowocną. Doktor teraz cioci zalecił wiele ciszy i spokoju. Kilkomiesięczny pobyt na wsi najlepiej temu odpowiedział.

— Ależ jaby się tam zanudziła!

— Przy dobrych chęciach wszędzie się dobrze bawić można, — odrzekła Jadwinia spokojnie, jakby od niechcenia, a szybko i nerwowo przerzucała kartki ilustracji. — Zresztą pobyt w Lubrańcach uwalniałby ciocię od kosztów utrzymania przez całą zimę.

Jadwinia rzuciła tę uwagę i niespokojnie czekała rezultatu.

Pani Zeneida pisać przestała.

— Jeszcze na pewno nie nie postanowiłam — rzekła krótko.

Uderzyły ją ostatnie słowa Jadwigi. Prawdą! Że jej też to nigdy na myśl nie przyszło! Rachunek był prosty i korzystny. Jeżeli zimowe miesiące spędzi u brata, zaciąganie pożyczki będzie zbędne, wydatki żadne — to grunt. Perspektywa uniknięcia długu uśmiechała się pani Zeneidzie.

W kilka chwil później projekt wyjazdu do Lubrańców był postanowieniem.

Jadwinia z uśmiechem tryumfu śledziła jej zamyślenie. Wiedziała, że materyalna kombinacja będzie wobec pani Zeneidy jedynym wymownym argumentem, który zrobi swoje, to też nie nalegała już więcej tylko myślom puściła wodze.

Odłożyła na bok przejrzone dzienniki, a wzrok jej zamyślony i obojętny przesunął się leniwie po otoczeniu, jakby nie widział tych przedmiotów, po których się ślizgał przypadkowo i mimowolnie. Krótko, bardzo krótko uśmiech zadowolenia rozjaśniał oczy jej ilica. Nikł nieznacznie, wreszcie zginął jakby się rozpułnął wśród otaczającego milczenia, jakby go spłoszyła zaduma i przygnębienie, które osiadły na jej twarzy. Oczy patrzyły przed siebie, a myśl snuła obrazy ze wspomnień o poznaniu Henryka Lubrańskiego, i o wzajemnym ich stosunku.

Było to temu zaledwie ośm miesięcy, kiedy się pierwszy raz zobaczyli. Bawił w Paryżu i przyszedł odwiedzić siostrę swego ojca, hrabinę Zeneidę.

W kółku znajomych powtarzano sobie, że jest synem milionera Jana Lubrańskiego, pana na ordynacji, licznych ziemiach, fabrykach i kopalni węgla.

Majątek jej zaimponował.

W pierwszych dniach znajomości Henryk jej się pilnie przypatrywał, w świecie spotykał dość często, nareszcie stał się codziennym gościem u pani

Zeneidy. Nikt się temu nie dziwił, był przecież jej rodzonym siostrzeńcem. Przychodził w rozmaitych godzinach, przestano się nim krępować, pani Zeneida nie odrywała się dla niego od swoich zajęć, Jadwinia bawiła go w jej imieniu.

Przed samym wyjazdem z Paryża do Florencji oświadczył się o jej rękę. Odpowiedziała „tak“ i uszczęśliwiona bieda chciała do pani Zeneidy z oznajmieniem tak ważnej nowiny. Ale Henryk niespokojnie ją zatrzymał.

— Nie, nie, — rzekł, — musi to jeszcze pozostać między nami. Mój ojciec układa dla mnie na przyszłość jakieś inne plany, muszę zatem widzieć się z nim osobiście, powiedzieć o moim zamiarze i dopiero wtedy zwrócę się do cioci Zeneidy o błogosławieństwo i twoją rękę. Dziś, chciałem się tylko upewnić czy ty mnie zechcesz. Nie chciałem czynić żadnych kroków oficjalnych bez porozumienia się z moim ojcem.

Henryk mówił na pozór spokojnie i swobodnie, ale w głębi myśli przeczuwał całe góry przeszkód i trudności ze strony najbliższych. Powód był jasny i dostateczny, choć jeden tylko i jedyny, ale w oczach wszystkich naturalny i unieważniający wszelkie inne względy — Jadwinia nie miała posagu.

„Kocham cię nad wszystko!“ powtarzał nieraz z zapalem, — „i niktby mi ciebie odebrać nie potrafił!“ A w myśli snuł dalej swoje szczerze wyznanie, prawdziwe, nieklamane i pocziwe, płynące prosto z serca, kochającego i oddanego jej całkowicie. I myślał sobie, że choćby go nazwano szaleńcem, wysmiano i potępiono, on jej nie opuści nigdy...

Mówił do niej długo, z prostotą i serdecznie, duszę otwierał by pokazać, że wszystkie jej zakątki wypełnione są myślą o niej; dobierał słowa harmonijne, tony głosu delikatne i subtelne, by choć w przybliżeniu dały obraz jego uczucia, na którego określenie zdawało mu się, że niema słów dosyć wyraźnych, miękkich a potężnych.

Jadwinia zwykle nie przerywając słuchała jego mowy. Z zamyśleniem patrzyła przed siebie i wsłuchiwała się w ten głos, który był zwiastunem blasku i świetności i jej wzniesienia się na piedestale społecznym.

Czemże była dotąd? Jakimś dodatkiem pani Zeneidy, zależnym od jej złego lub dobrego humoru! A teraz... będzie hrabiną Lubrańską! Przymrużyła oczy, a wyobraźnia od lat tyłu zasłona widokiem cudnych bogactw i świetności zalała umysł powodzą obrazów z życia szerokiego, na wysoką światową skalę, obrazów kąpanych w blasku złota i drogich kamieni, z aureolą wysokiej pozycji i nazwiska! Al! Nareszcie będzie bogatą i szczęśliwą! Nareszcie swoim własnym blaskiem błyszczeć będzie! Nareszcie jej bożyszczą „Blask“ i „Złoto“ przychylnie ku niej wyciągnęły ramiona!

A w tych marzeniach o zbytku i świetności powstać Henryka gubiła się i nikła powoli... może się w słońcu roztopiła... a może go zasłonił i przyniósł ogrom jego majątku...

— Jadwiniu czyż cię nudzę? Taka jesteś zamyślona i mało mówiąca?

Zapytanie Henryka przywołało ją wtedy z krainy marzenia. Prawdą! Pozypomniała go sobie! Przecież to on swoją miłością dawał jej to szczęście! I szczerą wdzięczność serce jej rozgrzała, a wyrazem jej był uśmiech dobry i pocziwy i spojrzenia pełne uczucia, ale tylko uczucia wdzięczności.

Wiedziała, że najlżejszym dowodem serdeczności sprawi mu nieopisaną radość, a że każdemu przyjemność zrobić lubiła, hojnie go więc odtąd darzyła zdawkową monetą dobrego swego serca; sympatyę i życzliwość zaznaczała w drobnych dowodach pamięci, w nieznacznych, dla nich tylko wiadomych odzieniach codziennego, salonowego życia, w drobniactwach, które dla innych bywają nie nieznaczającą banalnością, dla zakochanych zawierają cały świat rozkosznych wzruszeń i radości.

Byli zaręczeni, dla siebie tylko, w sekrecie, a Henryk odkładał z tygodnia na tydzień swój wyjazd do kraju, dla porozumienia się z ojcem o kwestyi swego małżeństwa. Nie śpieszył się jakoś. Przeczuwał grad napaści, wymówek, burz, szyderstw i perswazji, a nie lubił scen podobnych.

Przesuwały się teraz w myśli Jadwini wspomnienia rozmów prowadzonych we dwoje, w sekrecie przed panią Zeneidą i całym otoczeniem, które za-

wsze jakieś niemiłe i nieokreślone uczucie po sobie zostawiały. Ona byłaby chciała, żeby świat cały wiedział, iż Henryk Lubrański u stóp jej złożył swoje nazwisko, miłość i majątek, chciała się tem szczyścić i błyszczeć, chciała widzieć jak tłum, zmienny jak kameleon i w uczuciach różnobarwny, swoją dotychczasową zdawkową uprzejmość zamieni na uniżoność: pochlebstwa. A tymczasem o jej tryumfie nikt nie wiedział... zadość uczynienie próżności prędko nie przychodziło...

Musiała się na razie zadawać samą jego miłością, a błyszczenie i tryumf na później odłożyć. Ale ta miłość zadowolenia jej nie dawała.

I tak zamyślona pytała się sama siebie czy to uczucie, które w Henryku obudziła, jest rzeczywiście tem owym wielkim uczuciem, na którym niektórzy istnienie swoje opierają, które ludzi pono w aniołów przeistacza, na którym się opiera racja bytu rodziny, zatem jest podstawą życia społecznego? Podobno przecież ta sławiona miłość jest potęgą, która cudów dokazuje, która wszystko do siebie nagiąć potrafi! Gdzie ta potęga w uczuciach Henryka? Potęga — to siła; a kto silny depeze przeszkody i przechodzi przez zapory! Potęga — to wielkość; a wielkości aureolą blasku otaczać się zwykły...

Niema siły, wielkości i blasku w uczuciach Henryka? Jego miłość jest trwożliwa, ogłędająca się na względy jakieś poboczne; jego miłość nie jest potęgą ani siłą, bo lęka się odważnie światu narzucić, ale rozważa i szuka sposobów zjednania sobie aprobaty.

Niema siły i nie wielka, więc też niema i swej aureoli uroku, który znuwiała i porywa. Przeciwnie kryć się lubi w buduarowe zakątki, — w cień roślin i portyer, gdzieby jej nikt nie dojrzał i wyrazów nie posłyszał. I to jest to wielkie, sławione uczucie, które gdy duszę Henryka przepełnia i na usta serdecznymi słowy się wydiera, jest jakieś smutne i rzewne i nawet na uśmiech zdobyć się nie może?

Rzeczywiście, ile razy Henryk był sam z Jadwiną, i nie czuł się pod kontrolą żadnego obojętnego wzroku, posępniał jakoś dziwnie, stawał się mało-mównym i z wyrazem smutnej zadumy w Jadwinę się wpatrywał. A myśl jego kreśliła obrazy burz i utareczek, które miało wywołać ich małżeństwo. Patrzył smutnie na swoją narzeczoną, bo mu jej żal było, gdyż wiedział że i ona z tego powodu niejednej dozna goryczy i przykrości. Przez poczucie delikatności nie wyjawiał jej trosk swoich; ona zaś uśmiechów szukała na jego twarzy, nie rozumiała smutku, tylko ją gniewało i nudziło takie uczucie, które w jej oczach miało postać mdłą i bezbarwną.

A może jest jeszcze jaki inny rodzaj miłości... myślała sobie Jadwinia, jakaś miłość, która uśmiecha się upaja i błyszczy, któraby była wielką silną i potężną, ta, o której mówią i piszą może się na nią czai w ukryciu, i wprowadzi do świata czarów i niespodzianek?...

(Dalszy ciąg nastąpi).

SIOSTRY NAPOLEONA.

IV.

Paulina Borghese, Księżna Guastalla.

(1780—1825).

(Dalszy ciąg).

Salon Jej cesarskiej wysokości, księżnej Pauliny Borghese, należał swego czasu do głośniejszych w Europie. Napoleon życzył sobie i wymagał, aby księżniczki cesarskiego domu, przewodniczyły ruchowi towarzyskiemu stolicy oraz, aby gromadziły dokoła siebie najwybitniejsze osobistości współczesne.

Paulina zastosowała się do tego rozkazu. Oprócz jednak nadzwyczajnej urody i daru przystrojania

jej, tak dalece nie posiadała żadnych warunków, na panią wielkiego domu i gwiazdę towarzyską, iż przed każdym przyjęciem, z góry przez Napoleona naznaczonym, generał Duroc, wielki marszałek pałaców cesarskich, przywoził gotową listę zaproszeń i pokazywał ją jedynie księżnej, aby wiedziała przynajmniej, kogo mieć będzie u siebie. Nie dowierzano ani taktowi jej, ani zdolnościom organizatorskim. Zupełny brak wykształcenia i tu utrudniał jej rolę. Nie umiała wprost, poprowadzić inteligentnej rozmowy, nie umiała nadać tonu zebraniu.

Zadanie przeto księżnej Borghese, przedstawiało się w owym „sławnym salonie,” nader łatwo. Do obowiązków jej należało: być piękną i strojną. Z obu punktów wywiązywała się znakomicie; pod względem ubrania zaś, była tak surową, iż damy zaproszone cierpły ze strachu, przed otrą jej krytyką. Każdy też występ w pałacu Borghese, równał się dla nich, pod tym względem, istnej próbie ogniowej.

Paulina dawała jednak rzeczywiście, przykład dobrego smaku i rzadkiego wykwintu. Notujemy tu, dla użytku czytelniczek „Bluszczu,” dwie jej toalety, których szczegóły przekazały światu pamiętniki księżnej d'Abrantés.

Paulina przyjmowała w środy.

Otóż, na jednym z zebrań takich, ukazała się ona w sukni z bledo różowego atłasu, pokrytej bledoróżowym tiulem. Lekką tę tkaninę podcinały pęki piór marabutowych, przytrzymanych agrałami dyamentowemi rzadkiej piękności. Od marabutów szły, wzdłuż sukni, wstążki atłasowe różowe kończące się pod staniczką. Ten stanik zaś, wolny już od tiulu, a mocno wycięty, był arcydziełem kunsztu—jubilerskiego. Okuwał go bowiem pancerz lity, z dyamentów rzadkiej wody, przepyszenie szlifowanych. Od ciężkiego, słoneczny blask siejącego pancerza, szły leciuchne, przezrocze tiulowe bufy na ramionach, przewiązywane, zamiast szwów, sznurami dyamentów. Na małej, klasycznej głowce, pióro marabuta, podtrzymane bukietem z dyamentów. a przypięte dyamentową również klamrą.

Powiedzieliśmy powyżej, iż przytaczamy strój ten, dla użytku czytelniczek „Bluszczu.” Mylne to jednak określenie. Bo, aby wdziać na siebie pancerz, kosztujący miliony, trzeba na to być siostrą wyjątkowego, a epokowego człowieka, cesarza i zdobywcę świata zarazem; trzeba być przytem kobietą ciasnego umysłu i... marnego serca. Każdy bowiem strój taki Pauliny, opiewany przez bardów dziennikarskich, niecił wśród ludu paryskiego, cierpiącego nędzę, bunt głuchy i podkopywał urok cesarza, na krwawych polach zdobyty przez jej brata.

Oto strój drugi: Moda wymagała spódnicek lekkich, na tle jedwabnem, podpinanych wzdłuż wstążkami lub kwiatami.

Księżna Paulina więc, ukazała się raz, w sukni o draperyach powiewnych, podtrzymanych wprost, delikatnemi gałązkami sośniny. Uzupełniał ją stanik z aksamitu zielonego, tegoż co sosna odcieniu, posyty cały... szmaragdami i dyamentami.

Że jest w tem dużo malowniczego gustu, temu trudno zaprzeczyć, ale i dużo — zepsucia zarazem; smak, skażony bogactwem, zbyt łatwo przychodził, a od—niedawna nabytem.

Jest to wogóle epoka najgorsza w życiu Pauliny. Wyrabia się w niej ton, godny półświatka, lecz nie siostry cesarskiej. Przewrócona główka nie zna wyrazu: obowiązek, a zastępuje go dorobkiewiczowskiemi fantazyami. Zawsze delikatnego zdrowia, obecnie dochodzi do stanu newrozy i histeryi, która upoważnia ją — we własnem przekonaniu—do niesłychanych kaprysów i wymagań. Objawia je wprawdzie, z czarownemi minkami zepsutego dziecka, ale niemniej zjednywa sobie ogólną niechęć, dziwaczny wybrykami, o których nikt nie śmiał donieść Napoleonowi.

Doktorzy kazali jej pojechać do wód w Aix-la-Chapelle. Paulina spełnia ich wolę. Zbliżając się do Bar sur Ornain, stolicy departamentu Meuse'y, wysłała kuryera, w dworskiej liberyi, do miejscowego prefekta, aby go zawiadomił o tem, iż Jej cesarska wysokość raczy zanocować w prefekturze. Owym prefektem był p. Leclerc, brat pierwszego jej męża, generała Leclerc'a. Przejazd Pauliny spadł na niego zniżej, a tu jeszcze wysłaniec przywiózł rozkaz:

„Aby pan prefekt kazał łaskawie przygotować dla Jej cesarskiej wysokości śniadanie, oraz prysznic i kąpiel z mleka, gdyż przed przyjęciem posiłku, księżna chce, wysiadając z powozu, obmyć się najpierw z kurzu podróżnego.”

Pan prefekt stracił głowę: o takiej kuracyi, jak żyje nie słyszał. Ale, któżby się opierał siostrze najwyższego władcy kraju? Konni więc posłani rozlecieli się po całej okolicy miasteczka, szukając takiej ilości świeżego mleka, aby nią można wannę napełnić.

Pojazd księżęcy nadjeżdża tymczasem. Pan prefekt rzuca się do otworzenia drzwiczek. W głębi wykintnej kolebki, na stosie poduszek i poduszek, do których czuła dziwne upodobanie, spoczywała Paulina, śliczna jak zjawisko, a rozpieszczona jak kapryśny dzieciak.

— Dzień dobry, braciszku,—woła słodkim, przytulającym się głosikiem. — A weź że mię, proszę, i zanieś do pokoju; bo chodzić, przyznam ci się, nie lubię.

Pan Leclerc chwyta dawną bratową i niesie, zżęcza najwyższą, jak ciężar drogocenny. Złożywszy ją na kanapie, w najwspanialszej i najkosztowniejszej sali pałacu, pyta o rozkazy. Dawna Pauletta Leclerc bardzo jest łaskawa, bardzo serdeczna, uprzejma i pieściotliwa; wypytawszy się zaś o zdrowie i powódzenie byłego swego szwagra, podsuwa nagle z miną kotki:

— A moja kąpiel?

— Gotowa, w gabinecie toaletowym.

— O, każ przynieść wannę tutaj; chodzenie mnie tak utrudza.

Najpiękniejsza sala i kąpiel; prefektowi zrobiło się niemiło, ale kazał wolę jej spełnić.

— A prysznic?—pyta słodko Paulina.

— Niema go w całym mieście.

— Co? Niema? To takie przecież łatwe!...

A więc pójdę wprost na śniadanie. Tymczasem zaś, proszę cię, drogi Leclerc, każ tu wybić dziurę w suficie; na piętrze postawią kilka wiader mleka i będą mnie oblewać z góry. Przy dobrej woli, zaimprovizujemy w ten sposób prysznic.

A widząc przerażoną minę prefekta, dodała stanowczo:

— Och, to niezbędne dla mego zdrowia.

I dziurę wybito... Zmarnowano dwie sale, zniszczono pyłem wapiennym meble, opryskano tłustymi plamami z mleka, kosztownie ozdobione ściany. Takiego wandalizmu i sardanapalizmu zarazem, nie przebacza ludność, samozwańczym swym władcom.

Fantazyje jej wszakże miały skończyć się szybko. Położyła im kres nienawiść jej do cesarzowej Maryi-Ludwiki.

Było to w 1810 r. Przechodząc po za krzesłem cesarzowej, Paulina podniosła, po za plecami jej, rękę, z uciążliwym, a przez lud paryski i uliczników przyjętym, gestem. Niestety, cesarz pochwycił ruch ten w zwierciadle. Oburzony, zerwał się w gniewie najwyższym, lecz Paulina, szybka jak strzała, zdolała uciec z pokoju.

Ów figiel żakowski pozbawił ją, raz na zawsze, wstępu na dwór cesarza. Komunikat urzędowy obwieścił światu, iż księżna Paulina, wskutek słabości zdrowia, zmuszona jest opuścić natychmiast Paryż i zamieszkać w wiejskiej swej posiadłości, w Neuilly.

Była to ta sama wspaniała rezydencja, w której Paulina niedawno przedtem urządziła szalone zabawy, ku uczeniu zaślubin Napoleona.

„Uroczystość zaczęła się,—według słów Stanisława Girardin, cytowanego przez Turquan'a—odegraniem wodewilu p. t. *La danse interrompue*; położyła jednak zaproszonych nie mogła się już pomieścić w sali widowisk. Gdy przedstawienie ukończono, Ich cesarskie mości przeszły do ogrodu, oświeconego *à giorno*, kolorowemi lampami. Tutaj, czekały na nich przeróżne niespodzianki, przygotowane i urządzone, z rzadką pomysłowością. Ustawione wśród zieleni mitologiczne grupy i posągi, ożyły się nagle, zeszły z piedestałów, a zakreślając koła i tańce, łącząc się w korowody, rzucając kwiaty pod nogi pary monarszej, poprowadziły ją do świątyni Hymenu, a dalej, na bal ludowy i do zaczarowanego pałacu, który był wierną kopią zamku w Schoenbrunn'ie. Orkiestry, ukryte wśród kłębów, przygrywały melodie delikatne, niebiańskie.

Ta przechadzka magiczna, po krajach zaczarowanych trwała przeszło pół godziny. Wracając z niej do apartamentów, przybranych z niesłychanym przepychem, cesarz zapalił ognistego smoka, dającego początek szalonej illuminacji, wśród której signora Saqui wzniosła się—na drutach—na znaczną wysokość, by tam odsłonić świątynię sławy.

Bal rozpoczął się o północy.

Księżna Paulina była tak piękną, wśród tego olśniewającego zbytku, iż witał ją wszędzie, jeden okrzyk podziwu.

Mówiąc wszakże o tem, Stanisław Girardin nie może się powstrzymać, od następujących, poważnych, a słusznych uwag:

„Zabawy te, na których rzuca się całemi garściami pieniędzy, nie mogą być popularne wśród ludu. Gdy jedna noc taka pochłania kontrybucye i podatki, składane przez kilka prowincyi, refleksye jakie ona wywołuje muszą być gorzkie i smutne. Podobnie lekkomyślny przepych i zbytek, to krok do ruiny cesarskiego domu. Snać przykład niezgo nie uczy i nikogo nie poprawia.”

I cesarz spostrzegł nareszcie, że ów bal słynny, wywołał złe wrażenie na mieszkańcach Paryża.

„Uznając, iż bajeczny koszt tej zabawy mitologicznej, mógł oburzyć lud,—ciągnie Girardin,—Napoleon rozkazał rozrzuć, w dwa dni później, w imieniu księżnej Pauliny, zaproszenia na bal następny, wydany na 5,000 osób przeróżnego stanowiska. Karty wejścia rozdzielał zarząd miasta; zaproszeni jednak, powiedziawszy: „A, dwór chce nam dać resztki,” nie zjawili się, a to co przybyło, miało złą cechę. Zabawa przytem, wobec zamkniętego pałacu, zdawała się mówić, jak przed rewolucją, o „okrucach, rzucanych hołocie.”

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Anglii.

Londyn krócej w tym roku, niż zwykle, wyludniony był podczas lata. Sfery arystokratyczne później schroniły się do swych letnich siedzib, posłowie parlamentu później usunęli się na odpoczynek; obecnie jednak nie przedłużają już beczynnego życia i ściągają do swych zajęć i towarzyskich obowiązków w stolicy.

Teatry nie wszystkie jeszcze otwarte. Mamy nadzieję, że sezon jesienny więcej ożywiony będzie od wiosennego, w którym nowe sztuki, takich nawet autorów, jak Pinero i Jones bardzo średnio miały powodzenie. Smak publiczności i w Anglii także, w ostatnich czasach, uległ widocznej zmianie. Dawne sztuki i melodramaty najliczniejszych zgromadzają widzów.

W beletrystyce niewiele można zaznaczyć wybitniejszych powieści. Tu i tam pojawia się jakaś większej wartości książka, w ogóle wszakże wiele tomów przerzucić trzeba, zanim się taką napotka.

Jedna z gazet Londyńskich zawezwała swoich prenumeratorów do głosowania, kto jest dziś najpożytniejszym z pomiędzy powieściopisarzy, poetów i dramaturgów.

Z pomiędzy pierwszych, największą liczbę głosów otrzymała Miss Marya Corelli, drugie miejsce zabrał Sir Walter Besant,—trzecie Conan Doyle,—czwarte,—Miss Braddon.

Poeeci szli następującym porządkiem: Swinburne, Alfred Austin, Morris i Watson. Dramaturgowie: Sims, Pinero, Gilbert, Jones.

Taż sama gazeta (British Weekly) donosi, że trzech znanych autorów jest w tej chwili zajętych tworzeniem dzieła na tle pierwszych czasów chrześcijaństwa, w którym Bóg — Człowiek jest główną postacią.

Szerokie zaiste założenie.

A. P. Sinett, arcykapłan teozofizmu nowożytnego, w obszernym tomie naucza o „wzrastaniu duszy” (The Growth of the Soul).

Jest to tak dziwaczna książka, że jedynie przez samo swoje dziwactwo zasługuje na pobieżną wzmiankę.

Sinett, popierając dowodzenie swoje przykładami z codziennego życia i luźnymi faktami, stara się przedstawić w jaki sposób dusza ludzka bierze swój początek, jak się stopniowo rozwija i jakie jest jej przeznaczenie.

Wystawy księgarskie zwykle dopiero w końcu Września zasypane bywają nowościami, letnie miesiące dla wszystkich, a więc i dla piszących, są miesiącami odpoczynku.

Żadne może z wielkich miast Europy nie zmienia tak zewnętrznego swego wyglądu podczas lata, jak Londyn. Zdawałoby się, że w milionowym grodzie, tłum szczęśliwych, mogących schronić się przed kurzem i skwarem wielkomiejskim, aczkolwiek licznie dosięgający poważnej cyfry, w zestawieniu z ludnością ogólną miasta, jest mało znaczącą garstką.

A jednakże garstka ta stanowi charakterystykę stolicy, to jest, przynajmniej tej części, w której człowiek, duchowej przeważnie pracy oddany, lub też cudzoziemiec, przebywają przeważnie.

Kto widział Londyn w Maju, z trudnością pozna go wśród lata. Czyni wrażenie opuszczonego, zaniedbanego miasta, zamieszkanego jedynie prawie przez biedaków, dla których nie opłaca się nawet urządzać sklepowe wystawy i zamiatać porządnie ulice. Stali mieszkańcy Londynu nazywają go wtedy — „zamerykanizowanym“ (americanized), albowiem istotnie, o tej porze przybywają tu całe zastępy ludzi z nowego świata.

Na ulicy Oxford znajdują się liczne hotele, prawie wyłącznie przez Amerykanów nawiedzane. Co kilka kroków spotkasz tu amerykańskie flagi, nad drzwiami zaś i nad wystawami magazynów i sklepów napisy: — Witajcie goście z Ameryki, albo: — Gościom z Ameryki pozdrowienie. — Anglikowi zdaje się, że jest na ulicy New-Yorku, tak często twarzą dyalekt, używany po za oceanem, odbija się o jego uszy.

Zabawnie wyglądają policyanci, oblegani przez ciekawych przybyszów z za oceanu. Każdy prawie Amerykanin trzyma czerwono oprawną książeczkę (rozumie się Beadekera), w rękę i każdy żąda informacji. Ten pyta o drogę do British — Muzeum, ów do Wystawy sztuk pięknych, — tamten do innej jakiejś osobliwości. Prawdopodobnie wydanie szczegółowego przewodnika po Londynie, byłoby arcykosztownym, opłaciłoby się jednak niewątpliwie, sądząc po ogromnej ilości czerwono oprawnych książek, spotykanych podczas letnich miesięcy w naszych kościołach, muzeach i omnibusach.

Dla mieszkańców Londynu przykrym jest tak znaczny napływ obcych o tej porze.

Człowiek, żyjący stale w jednym kącie, przyrosły do niego i przywiązany szczerze, radby każdemu przedstawić go z najlepszej i najbardziej estetycznej strony. Tymczasem Londyn, od Czerwca do Września, odarty jest ze wszystkiego, co go upiększa i dla oka czyni przyjemniejszym.

Pozostają tylko budowle i zbiory. Co sobie cudzoziemiec pomyśli o tyle wychwalanym Hyde Parku? Drzewa są tam zawsze równie wspaniałe, — ale brak ruchu i elegancji sprawia, że szerokie aleje wydają się monotonne i nudne. Albo jakiego wrażenia dozna podróżny, idący wzdłuż Picadilly do St. James, gdzie zamiast strojnego tłumu, jaki się tu spotkać spodziewa, ujrzy leżących na ławkach i wygrzewających się w słońcu próżniaków.

Nawet, niektóre sklepy i magazyny, w porze letniej, bywają o wiele mniej starannie i zasobnie zapatrywane. Nie, stanowczo Londyn w lecie nie jest wcale tym Londynem, z którego każdy Anglik jest dumny i który ohotnie obcemu przedstawia. Rozczarowanie spotkać musi każdego, kto stolicę Anglii poznać chce podczas lata.

Z miejscowości, niezbyt oddalonych, Buxton cieszy się najliczniejszym napływem gości. Szczególniej podczas Września hotele i wille do najęcia tak są zajęte, że przybywający poprostu odbywają pomiędzy sobą licytacje na mieszkania.

Zdrowotność i piękność położenia wabią tu bogatych mieszkańców miasta. Jedni przybywają dla kuracji i kąpeli, drudzy, dla towarzystwa, ruchu i zabawy.

Ogrody w Buxton od 11-ej do 1-ej w południe, podobne są do Hyde-Parku w najbardziej ożywionym sezonie.

Buxton jest niezaprzeczenie najpiękniejszą miejscowością w Derbyshire, wzniesione tysiąc stóp nad poziom morza, otoczone znacznymi wyniosłościami, zdrowotność swą zawdzięcza rozległym i wspaniałym lasom.

Anglicy używają tu swobody, zgoda niedopuszczona w eleganckim świecie wielkiego miasta. Obiadują wcześniej (o 6-ej) poczem, w spacerowych toaletach, wieczór zapełniają najczęściej słuchaniem doborowych koncertów, rozlegających się we we wszystkich ogrodach w Buxton.

Wędrownie trupy artystów dramatycznych dają przedstawienia w bardzo ładnym letnim teatrzyku, który omal zawsze doszczętnie bywa zapełniony.

Anglicy, lubiący dalekie spacer i wycieczki mogą tych używać w okolicach Buxtonu pod dostatkiem. Do Chelmorton, Fiddle, Haddon Hall i wielu innych.

Wybrzeża morskie jak Folkestone, Brighton, Eastbourne i Hastings także do końca Września rachują swój sezon.

Życie towarzyskie rozwinięte jest i tutaj z równem ożywieniem i swobodą, jak w Buxton.

Anglik na wakacjach zmienia się nie do poznania, nacieszyć się nie może wypoczynkiem i odsunięciem się od wielkomiejskiego gwaru, prac parlamentarnych i różnych obowiązkowych zajęć. Od rana myśli tutaj tylko o nowych projektach zabaw, znajomości zabiera z nierównie większą, niż w stolicy, łatwością, gościnnym jest i wesołym nieprzyjemnie i szczerze.

We Wrześniu, podczas dni znacznie już krótszych, popołudniowa herbata zgromadza zwykle nader liczne i rozbawione towarzystwo.

Ostatnie dni tego miesiąca wypłaszają resztę szczęśliwych, oddychających ożywczem, morskiem powietrzem, opustoszałe hotele, wille i zakłady kąpielowe układają się do zimowego spoczynku.

Lato się skończyło, niedługo znów, aczkolwiek pożółkłe, ogrody i parki w mieście zaroją się i zapełnią podczas godzin uprzywilejowanych na przechadzkę. Nie mogę nie wspomnieć tu jeszcze o przeszłych królewskich ogrodach Kew, zaledwie o godzinę od Londynu oddalonych.

Sztuka ogrodnicza, połączona z najwytworniejszym smakiem, doszła tu do takiego udoskonalenia, że zdobyła się na istotne cuda. Trudno doprawdy dać wiarę, że się jest w tak niewielkiej od miasta odległości.

Ten, kto tu przeprowadził linie wspaniałych alei, rozrzucał grupy różnolistnych drzew, urządził sztuczne jeziora i wodospady w ten sposób, jakby je natura od wieków tu potworzyła, porozrzuciła mostki i grotty — i наконец, w bardziej odkrytych, na działanie słońca wystawionych miejscach, rozpostarł najprzedniejsze, o nieposzlakowanym rysunku kobiece z kwiatów, kto, powtarzam, stworzyć tu umiał te wszystkie cuda, — prawdziwym był artystą.

Był nim pierwszy dyrektor ogrodów królewskich w Londynie, Sir William Hooker, którego nazwisko bardzo poważnie zapisało się w rocznikach angielskiego ogrodnictwa.

W Anglii, tak samo, jak w całej Europie, upodobanie do hodowli roślin i kwiatów, wzrosło dziś ogromnie.

Każde, choćby średniej zamożności mieszkanie, zdobne jest zielenią i kwieciami, w domach zaś bogatych nierzadko dochodzą pod tym względem do przesady.

Ubieranie stołów kwiatami jest w Londynie rzeczą zupełnie zwykłą.

Oprócz bukietów, lub wazonów z rozmaitemi, często dużymi bardzo roślinami, powszechnie używane są przeróżnej formy szklanne, albo porcelanowe korytka, które w deseni ustawiane bywają na stole. W korytka te nalewa się wody albo nakłada wilgotnego piasku i wypełnia je liśćmi i stosownymi do sezonu kwiatami.

Jestto moda, utrzymująca się od bardzo dawna i nie wychodząca nigdy z użycia w Londyńskich zamożnych domach.

Wystawy owoców i kwiatów jesiennych, z chwilą powrotu eleganckiego świata do stolicy, są tu na porządku dziennym. Często z tego rodzaju wystaw łączy się cel filantropijny.

Anglicy w racjonalny sposób dobroczynnymi być umieją, — a przykład ku temu, zawsze idzie z góry.

Ot i teraz księżna Beatrixa wiele czasu poświęca częstemu zwiedzaniu robót około wznoszonego świeżo szpitala dla suchotników. Księżna sama położyła kamień węgielny pod tę dobroczynną instytucję, ofiarowała na nią znaczną bardzo sumę i na cześć zgasłego męża księżnej, na szpitalu wyrity będzie napis:

„Ku pamięci Battenberga.“

Sześćdziesięciu przeszło chorych cieszy się nadzieją rychłego już pomieszczenia w nowo budującym się gmachu i modli się za pomyślność dobrej pani.

S.

Perła Antyllów.

Stanowisko, jakie w ostatnich czasach wobec najnowszych zajęć na Kubie, zajęły Zjednoczone Stany północnej Ameryki, nadało zażartej i z wzrastającym dla krajowców powodzeniem prowadzonej walce o niepodległość, nowy zwrot.

W skutek nieoczekiwanej tej ingerencji zaostrzyły się stosunki między panami wyspy, Hiszpanami a Ameryką, to też sfery polityczne europejskie obserwują z naprężoną uwagą dalszy przebieg konfliktu, dotyczącego kraju, który choćby już przez to, że jest dostawcą najlepszego tytoniu, oddawna cieszy się szczególnymi względami Europy.

Nie od rzeczy więc będzie przedstawić czytelnikom naszym krótki opis tej wyspy.

Odkrywca nowego świata, Kolumb wylądował pod koniec pierwszej swej podróży w październiku 1492 na wielkiej wyspie Antyllów Kubie, którą uważał za półwysep wschodniej Azji, wyrazić się miał wówczas, że uważa kraj ten za najpiękniejszy pod słońcem, jaki kiedykolwiek oko ludzkie oglądało, że Cubanacán, jak ją krajowcy nazywali, jest istnym rajem ziemskim.

Sąd ten jest wprawdzie nieco przesadzony i gdyby Kolumb widział był więcej Nowego-Swiata, który odkrył, gdyby był miał możność poznania innych części ziemi, dziś dla nas już dostępnych, byłby może zmienił swoje zdanie — w każdym jednak razie nie da się zaprzeczyć, że wyspa Kuba należy do najpiękniejszych części ziemi i że słusznie niektóre zwłaszcza jej strony nazwane być mogą rajem ziemskim. Lecz właśnie te ostatnie są po większej części niedostępne, leżą bowiem w okolicach górskich, do dziś dnia jeszcze niezbadanych, na których nie powstała noga podróżnego. Dziwnem się to wydaje wobec niewielkiej pozornie powierzchni wyspy; geograficzne karty naszych Atlantów są bardzo niedokładne i podają nam nieraz o wielkości dalekich krajów bardzo błędne cyfry, które dopiero przy pomocy dat statystycznych i porównaniu z innymi częściami świata dadzą się usunąć. Ta kształt jaszczurki mająca i pozornie tak mała wyspa Kuba, że z trudnością pogodzić się możemy z tą myślą, że istnieją w niej okolice dotąd jeszcze zupełnie nieznanne, w rzeczywistości rozciąga się na przestrzeni 11 stopni długości geograficznej i ma od przylądka Antonio do przylądka Maisi 1,200 klm. długości; powierzchnia jej wraz z sąsiednią wysepką de Pinos wynosi 119,000 klm. kwadr., a więc tyle, ile południowe Niemcy, lub czwarta część całej Hiszpanii. Wyspa ta jest wprawdzie w porównaniu do swej nadzwyczajnej długości, bardzo wąską, szerokość jej bowiem wynosi w najszerszych miejscach 120 klm., tak że najdalsza odległość od morza wynosi zaledwie 60 klm., w centrum jej jednak pokrytem w części nieprzebytymi lasami podzwrotnikowymi brak zupełny dobrych środków komunikacyjnych. Ludność wyspy, aczkolwiek się ona w ostatnich 40 latach nadzwyczaj wzmogła, liczy obecnie 1,600,000 dusz, co w porównaniu do powierzchni jest bardzo niewiele. Są to przeważnie kupey i żeglarze; przebywają oni stale na wybrzeżach morskich i tylko w razie potrzeby odbywają podróże w głąb kraju; panowie wyspy, Hiszpanie, są bardzo wygodni i dziwnie na piękności przyrody obojętni, a przytem łatwo opadają z sił pod wpły-

Z bieżącej chwili.

wem klimatu podzwrotnikowego, nie objawiają więc zbyt wielkiej skłonności do nużących podróży naukowych. A i obcy badacze rzadkimi w ciągu bieżącego wieku byli tu gośćmi, ciągle bowiem rozruchy wojenne i niezupełne bezpieczeństwo nawet w czasach spokojnych, nie bardzo zdają się zachęcać do dłuższego na wyspie pobytu. Tym sposobem stało się, że najpiękniejsze może części wschodniej tej wyspy, najmniej nam dziś są znane. Znamy dziś i uprawiana przestrzeń ziemi, wynosi zaledwie $\frac{2}{3}$ części ogólnej powierzchni, nie biorąc naturalnie pod uwagę nieużytków i olbrzymich trzęsawisk i lagunów, które się daleko w głąb wyspy wrzynają, i z tego powodu utrudniają wielce dokładne oznaczenie wybrzeży.

Zyzna gleba, wilgotny i umiarkowany klimat morski są nieocenionymi czynnikami nie tylko dla urodzajności ziemi, lecz także dla piękności i bogactwa flory, jednego z największych powabów wyspy. Z wyjątkiem szeroko się rozciągającej wschodniej części wyspy, która się składa z porfiru, bazaltu, a nawet granitu i innych stałych pokładów kamiennych, bogata jest w kruszce, a szczególnie w miedź, cała pozostała część wyspy, oznacza się pokładami bardzo urodzajnej ziemi, a liczne trzęsienia ziemi uczyniły grunt ten pełen jaskiń i pieczar, bardzo do uprawy podatnym. Rozkładowa siła podzwrotnikowych tych zjawisk atmosferycznych i towarzyszących im zwykle olbrzymich opadów, burz, orkanów i zmian temperatura, wytworzyła tu warstwę ziemi, na której doskonale udają się wszelkie rośliny tak podzwrotnikowych jak i zwrotnikowych stref.

Urodzajność gleby jest tak wielka, a przyroda tak rozrzućna, że niepotrzeba niemal pomocy rąk ludzkich, ani użycia środków nawozowych, by ziemia tu jak najobfitszy plon przyniosła. Flora tutejsza wykazuje 3,350 gatunków roślin, pomiędzy nimi 30 rozmaitych odmian palm, a dokładniejsze poznanie jej, zwiększyłoby niezawodnie znacznie tę liczbę.

Wyspie tej brak wprawdzie rzek spławnych, jedna bowiem tylko Rio Canto w wschodniej części dostępna jest dla łodzi, mimo to jest ona bardzo nawodniona, i ta okoliczność zwiększa jej urodzajność i piękność, utrudniając równocześnie komunikację. Większość bowiem licznych potoków i rzek tutejszych, które mają tę właściwość, że nieraz na dalekiej przestrzeni znikają z ziemi i podziemnymi korytami zdążają do morza, ma charakter rzek górskich; wzbierają szybko przy lada deszczu, występują z brzegów, tworzą w biegu swoim kaskady i z tych przyczyn równie trudne są do przebycia, jak owe krzaki zwrotnikowe. „Machete,” rodzaj szerokiego noża; to przyrząd, bez którego się nikt w głąb kraju nie puści; stanowi on również główną broń krajowców, kiedy, jak teraz np. odezwie się w sercu ich pragnienie zrzućcia gniołącego jarzma niepowolanych opiekunów.

(Dokończenie nastąpi).

— Towarzysz ministra skarbu zawiadomił władze celne, że przy zamianie monety srebrnej i papierowej na złotą, obowiązują od d. 13 Października 1896 r. do 13 Stycznia 1897 r. następujący kurs: za 1 rubla srebrną monetą bankową 66 $\frac{2}{3}$ kop. złotem, a za 1 rubla kredytowego lub 1 rubla drobnej monety srebrną lub miedzianą — 65 $\frac{2}{3}$ kop. złotem.

— D-r K. M. Górski, znany literat i estetyk, został mianowany przez Akademię Umiejętności delegatem tejże Akademii przy bibliotece polskiej w Paryżu. Biblioteka ta jest poważną instytucją, która służy za stację informacyjną dla wszystkich, którzyby o polskich dziełach i rzeczach dowiedzieć się chcieli.

— Bawił w Warszawie przez dni kilkanaście znakomity okulista paryżki, prof. Ksawery Gałęzowski, który w ciągu swej gościnności w naszym mieście udzielił kilkaset porad lekarskich, ze wszystkich stron nadpływającym pacjentom.

— Na ostatnim posiedzeniu komitetu budowy nowego Szpitala Dzieciątka Jezus zapadła uchwała, na mocy której nowy szpital wzniesiony będzie na placu Wystawy higienicznej. Dom wychowawczy będzie oddzielony od szpitala, który stanie na folwarku S-to krzyżskim. Koszt podziału dwóch tych instytucji wynoszący rs. 25,700, pokryty będzie z funduszu oszczędnościowego. Prezydent m. Warszawy, gen. Bibikow oświadczył, iż komitet obejmie plac w faktyczne posiadanie dopiero w Czerwcu r. p. po zamknięciu wystawy rolniczej.

— W Berlinie otwarty został, jak wiadomo, w dn. 19 z. m. kongres kobiecy; 75 pań i 10 mężczyzn zapowiedziało na nim odczyty, przypuszczać więc należy, że przyniesie on niemałą korzyść tak dziś głośnie sprawie kobiecej. Wszystkie niemal kraje przysłały swoje reprezentantki: Niemcy 36 (z tego sam Berlin 23), Anglia 12, Francja i Ameryka po 6, Austria 4, Rosja i Włochy po 3, królestwo Belgijskie 2, Armenia, Bułgaria, Bośnia, Holandia, Dania, Persja, Portugalia i Hiszpania i Szwecja po 1. Z całego szeregu rozpraw dodatnio wyróżnił się odczyt, który miała rodaczka nasza dr. Zofia Daszyńska, docentka przy akademii Humboldt. W prelekcji swej „O przeludnieniu kobiecym,” nacechowanej głęboką erudycją, wykazała na podstawie danych statystycznych przewagę liczebną kobiet nad mężczyznami w państwach cywilizowanych i co za tem idzie smutne położenie kobiet, których większość nie spełnia obowiązków matek i pań domu nie dlatego, że nie chce, lecz dlatego, że to dla nich wobec mniejszej liczby mężczyzn, z których większość nie szuka wcale dożgonnych towarzyszek życia, jest wprost niemożliwe. Prelegentka ma jednak nadzieję, że stan ten się poprawi i że kobieta, rozszerzając coraz bardziej zakres swej pracy, i stanawszy u boku mężczyzny, nie będzie dla niego rodzajem zbytku, na jaki nie każdy sobie pozwolić może, lecz stanie się dla dzieci jego prawdziwą matką-karmicielką, dzieląc z nim pospół pracę, która utrzymanie rodzinie dawać będzie. Pani Rzepiecka-Moszczyńska z Krakowa w prelekcji swej p. t.

„Studia uniwersyteckie polskich kobiet” przedstawiła w jasnym świetle dążności polskich przedstawicieli słabszego rodzaju, do uzyskania wyższego wykształcenia, dążności, które w chwili obecnej przez założenie gimnazjum żeńskiego w Krakowie przybrały formy bardziej konkretne i sprawie tej wróżyć się zdają pomyślną przyszłość. W szeregu licznych rozpraw nie brakło również miejsca dla reformy stroju kobiecego. Dr. Spener w odczycie swoim na ten temat, wykazywał konieczność uwolnienia dzisiejszej kobiety od wielkiej przeszkody, jaką stanowi obecnie powszechnie przez nią, używany strój. Żąda on stroju praktycznego, któryby nie stanowił tamy swobodnym ruchom i zdrowemu rozwojowi ciała. W podobny sposób przemawiała pani Sara Pröls. Zdaniem jej, nikt bardziej nie stawiał tamy reformie stroju, jak dawniejsze emancypantki, które całe równouprawnienie swoje i powodzenie swej sprawy zasadzały na śmiesznym naśladowaniu mężczyzny. W każdym jednak stroju kobiecym, i jakkolwiekby on był, musi być zachowany pierwiastek piękna, którego kobiety pod żadnym warunkiem pozbawić się nie dadzą. Strój dzisiaj używany scharakteryzował najlepiej mężczyzna, mówiąc, że nie obawia się wcale ruchu kobiecego, dopóki kobieta musi wprawdzie długo szukać, zanim znajdzie kieszeń w swej sukni. Prelegentka żąda w końcu ustanowienia stacyi doświadczalnej dla strojów kobiecych. W kwestyi tej zabierała między innymi głos pani Dr. Krajewska z Bośni. Nie zapomniano również o kwestyi moralności kobiet. Nim jednak rozprawy na temat rozpoczęto, wezwała przewodnicząca — szczegół bardzo charakterystyczny — najmłodsze przedstawicielki ruchu emancypacyjnego do opuszczenia sali posiedzeń.

M Y Ś L I

Ktokolwiek zważy charakter tych czasów naszych, ten uzna, iż żaden zamiar nie może być bardziej na czasie jak ten, by na wszelki sposób i ze wszelką usilnością bronić zgodności wiary chrześcijańskiej z umiejętnością rzeczy tego świata.

Leon XIII.

Nieszczęścia i jedność celów zbliżają ludy i narody do siebie.

Wojciech Cybulski.

Nie szumowiny naszego pożycia w salonach, ale krynicę czystą, pełną, pożywną życia narodowego brać nam potrzeba za przedmiot narodowej poezyi.

Tenże.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: ark. 2 powieści p. t. *Dora*, przez Henryka Gréville. Przekład z francuskiego.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

TREŚĆ: Do szanownych czytelniczek „Bluszczu.” — Na dziś, przez Szczęsną. — Z międzynarodowego kongresu kobiet w Berlinie, przez Szczęsną. — Czekaliśmy ciebie, przez Józefa Jankowskiego. — Lubrańce, powieść, przez Znicza (dalszy ciąg). — Siostry Napoleona, przez Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg). — List z Anglii, przez S. — Perła Antyllów. — Z bieżącej chwili. — Myśli.

Dodatek obejmuje: *Dora*, powieść, przez Henryka Gréville. Przekład z francuskiego, ark. 2. — Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.